

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VIII.

Warszawa, dnia 1 lipca 1916 roku.

Nr 27.

Z martyrologii polskiej.

3

III.

Ucieczka Jarosława Dąbrowskiego.

Wielu zesłańców 63-go roku próbowało ocalić się przez ucieczkę; nie licznym się to tylko udało. W większości wypadków nieudany zamiar ścigał na męczenników narodowych nowe kary; podwojenie lat katorgi, kajdany, knuty. Dla natur o wyjątkowej energii przeszkód niema jednak, a takich natur nie brakowało w owych czasach. Kronikę polskiej martyrologii notują szereg ucieczek z Rosyi, kilkanaście z Sybiru, w tem jedną z Tobolskiej gubernii. Głośnem na cały świat było wydobyć się z Sybiru Pawła Landowskiego, naczelnika policji narodowej, który przejechał wygodnie dziesiątki tysięcy wiorst rządowemi końmi, udając rewizora aptek. Niemniej głośną była ucieczka z więzienia w Moskwie Jarosława Dąbrowskiego, w 1871 r. później głównego wodza paryskiej komuny.

Rozpatrzenie się w tych dokumentach mówi nam pewną rzecz szczególną: że łatwiej było uciec z zamkniętego więzienia, aniżeli z „osiedlenia“ na wsł rosyjskiej, gdzie zesłańca pilnowali czujni a dobrowolni strażnicy: chłopci.

Mikołaj Berg podaje niejasną i nie zasługującą na wiarę legendę o ucieczce Dąbrowskiego. Mieli ją mu ułatwić nihilści rosyjscy, wśród których był jednym z najpierwszych organizatorów. Kiedy więźniów prowadzono do łaźni, przybyło do niej kilku panów w futrach i sobolowych czapkach. W przedpokoju, na wpół ciemnym, zarzucono na Dąbrowskiego futro i czapę i ten wyszedł na miasto razem z „barinami“. Ucieczkę sprostowano dopiero po powrocie więźniów z łaźni.

Mamy o tym głośnym epizodzie wiarogodniejszą relację, pochodzącą od Rożałowskiego, adjutanta wodza Komuny. Dość romantyczna to relacja. Mamyż ją dlatego w wątpliwość podawać? Takie niezwykle fakty, jak ucieczka z więzienia, muszą się przecież na niezwykle przygotowaniach opierać. W ucieczce Dąbrowskiego odegrała rolę kobieta, nawet dwie kobiety, którei powodowały czysto ludzkie zresztą uczucia litości, a bynajmniej nie miłości, ten zwykły klucz do otwierania drzwi więziennych w powieściach Dumasa. Było wtedy we zwyczaju pań rosyjskich praktykowanie cnoty: „odwiedzania więźniów“. Dąbrowski więźniem był niezwykle, nie tylko litość zdolnym budzić, ale i sympatię. Jedną z pań zainteresowała się żywiej polskim przywódcą.

— Cobym mogła dla pana uczynić? — zapytała go.

Dąbrowski miał już plan ucieczki w głowie.

— Gdybym otrzymał ubranie wiejskiej kobiety, — odpowiedział — próbowałbym odzyskać wolność.

Nazajutrz dostał, czego pragnął.

Sposobność do śmiałego kroku nadawała się codziennie. Jeden z oficerów, dozoruujących więźniów, sprzedawał im łaskawie po szklance gorącego wina, — za drogi pieniądź. Co rano żołnierz prowadził takich ochotników z sali na dziedziniec, na którym mieszkali zwierzchnicy i który dlatego mniej pilnie był strzeżony. Dąbrowski wyszedł tu, niosąc strój kobiety pod burką, gdy zaś żołnierz się oddalił, aby zawiadomić oficera, że więźniowie czekają na wino, śmiały polak przebrał się błyskawicznie i wyszedł na miasto przez nikogo nie zaczepiany. Solidarność więźniów, którzy z niczem się nie zdradzili, co w ich oczach się działo, ułatwiła Dą-

browskiemu wykonanie planu, prawie szalonego.

Aby plan ten się powiódł w zupełności, trzeba było, aby Dąbrowski spotkał jeszcze jedną miękką duszę rosyjanki. Znużony długiem kręceniem się po nieznanem mieście, nie mogąc znaleźć punktu oparcia, zaszedł wreszcie do jakiegoś sklepu, w którym dojrzał dobronudzną twarz młodej kobiety, i wyznał wszystko.

— Ja nic dla was zrobić nie mogę — odrzekła — ale idźcie na drugie piętro w tym samym domu; tam mieszka student, dzielny i dobry człowiek, który z pewnością wyratuje was z biedy.

Student był, istotnie, dzielnym i dobrym a w dodatku nie mniej od Dąbrowskiego śmiałym człowiekiem.

— Jeżeli pan odegrasz swoją rolę dobrze, — rzekł, — ocalimy cię. Mój ojciec ma przyjaciela inspektora policji. Poproszę go o gościnność dla mego kuzyna, który przybywa z prowincji i jest słaby. Nie odmówi mi tego, bo wie, że mam mieszkanie skromne.

Tak oto Dąbrowski spał pod dachem policyjanta, który przez ten czas szukał go zawzięcie po mieście. Jak w romansie.

W Petersburgu dostał Dąbrowski ubranie oficerskie pułku, stojącego na południu, wystawił sobie sam sześciomiesieczny urlop i miał odważyć osobiście zameldować się w ministerjum wojny.

Mniej romantycznie, ale niezwykle również udało się ucieczką z Ardatowa, gubernii niżnonowgorodzkiej, żony Dąbrowskiego, poślubionej w cytadeli i wywiezionej natychmiast po ślubie na zesłanie, nawet bez pożegnania z mężem. Szczegóły o tej ucieczce podała „Russkaja Starina“ w 1880 r. Dąbrowską wywieziono z Ardatowa w przebraniu „bohomołki“. W tym właśnie momencie w Ardatowie bawił gubernator niżnonowgorodzki, ale była to okoliczność, sprzyjająca ucieczce; cała policja kręciła się wokoło „jewo prewoschoditielstwa“ i na nic innego nie

dawała baczenia. Rożałowski nie pisał nic o tem w swym życiorysie Dąbrowskiego. Ale Dąbrowski potwierdza tę opowieść „Russkiej Stariny“ w głośnym swego czasu liście, jaki wysłał ze Szwecyi do Katkowa. Kiedy redaktor „Moskowskich Wiedomości“, donosząc o ucieczce Dąbrowskiego, zapewniał, iż rosyjska policya niezawodnie go odszuka, Dąbrowski napisał mu:

— Pan źle znasz swą policję, Michale Nikoforowiczu. Ja przed nią zawsze ucieknę. Na dowód, że ja znam waszą policję lepiej, wyznam, że nie uciekłem z Moskwy wprost za granicę, lecz skręciłem do Ardatowa, zabrałem stamtąd moją żonę i dopiero wtedy opuściłem Rosyę, — przez Petersburg.

Jarosław Dąbrowski odegrałby niezawodnie wybitną rolę w powsta-

niu. Był on duszą Centralnego Komitetu Narodowego, któremu dał jedność i sprężystość. Miał on tu jednak przeciwników, którym plany jego, wszystkie na gorącym i krainco-wo śmiałym czynnie oparte, wydawały się fantasmagoryą. Taki czyn przecież wyprowadził Dąbrowskiego z moskiewskiego więzienia a Dąbrowską z niżnonowgorodzkiego zesłania. Dąbrowskiego aresztowano 14 sierpnia 1862 r. i trzymano w cytadeli warszawskiej z górą dwa lata. Oddano go pod sąd dopiero na jego prośbę, zwróconą do Berga. Sąd pozbawił go szlachectwa, kapitańskiego stopnia, majątku i skazał na 15 lat katorgi. Skazany uciekł w drodze do męczeństwa, jakie nań czekało w jednym z „martwych domów“ Syberyi.

A. Wierzynek.

Gustaw Daniłowski.

POWIEŚĆ.

LILI.

11

Przemawiała za tem jeszcze jedna okoliczność: wyraźne znużenie Brunona, który, choć się buńczuczył, widać było, że nadrabia miną, że humor, którym usiłuje ją rozweselić, jest często sztuczny, że troska o nią i praca wyczerpuje jego żywotne siły.

Lili widziała nieraz, jak jego wspartą o poręcz fotela głowa jakby się ślania, a mocne rysy ulegają rozprężeniu.

— Stefan mógł go przy niej wyrażać — myślała. Nie wiedziała, jak mu o tem powiedzieć, i znowu patrzyła mu wymownie w oczy, jakby pragnąc, by jej życzenie odgadł lub choćby, czy ma jakieś nowe pragnienie, zapytał.

Ale Brunon myślał, że temi spojrzeniami chce go wy badać co do istotnego stanu swego zdrowia, serce mu się ścisnęło, i nie umiejąc gładko klamać, unikał jej oczu, a chcąc ją oszukać, rozprawiał o odległych projektach, w które wciągał jej osobę, chcąc niejako wywołać wrażenie, że czeka ją długie życie i że on jej stanem nie niepokoi się wcale.

Opowiadał, że magistrat plany zatwierdził, że w ogrodzie odrazu będą sadzić kilkoletnie drzewa, że ona pierwszy dołek wykopie i zasadzi lipę, by mogła, gdy on na starość będzie musiał brać na poty, kwiaty z niej uwarzyć.

— A gdy się lipa rozrośnie — mówił — umieść się pod nią ławeczkę, by mogły na niej gruchać młode pary, błogosławiące rękę, która stworzyła dyskretny jej cień, gdzie można przed okiem ludzkim ukrywać czar miłości.

Lili z pewnem zdziwieniem słuchała jego słów, które nabierały jakby poetyckiego poletu, obcego jego logicznemu, zwięzłemu i dosadnemu sposobowi wyrażania się.

Wykrywała z radością budzącą się w nim nową strunę, łączącą go niejako z psychiką Stefana.

I poczęła go pytać, czy nie zastanawiał się nad tem nigdy, że gdyby pomysły poetów łączyły się ze zdolnością wykonawczą, że zmysłem praktycznym, to by świat mógł przybrać jakąś pełną uroku, podniosłą postać.

Dowodziła, że postać Napoleona, jego legendarne wprost życie jest przykładem, co może uczynić człowiek, w którym łączyły się skrzydlate pomysły z umiejętnością wcielania ich w czyn.

— Tak — mówiła — ideałem moim jest Napoleon, który nie tylko wstrząsnął światem, ale potrafił otoczyć się urokiem, który dotąd trwa.

— Co ci się roi po głowie, miła! — dziwił się Brunon.

— Roi mi się pewien braterski sojusz kogoś z kimś, a chcesz wiedzieć — podniosła się, siadła na łóżku i poczęła silnie wzruszona mówić:

— Twój ze Stefanem. Napisz, by przyjechał, bo ja przecież ruszyć się nie mogę, a muszę go widzieć, muszę mieć raz was obu przy sobie.

— Brunonie — umilkła, widząc, że twarz jego staje się jakby kamienna i niezwykle surowa.

— Lili! — zaczął z trudem — wymagasz za wiele, za wiele... do prawdy, ponad siły, zastanów się sama, pomyśl nad tem, ja też pomyślę — wstał i wyszedł.

Lili upadła na poduszkę, jak złamana.

— Nie pogodzą się nigdy — myślała, ostre łyzy zapiekły jej powieki — zawsze im chodzą o jedno — mignęła krwawa myśl i ciało jej się wydało ociężałym brzemieniem; zdjęła ją chęć, żeby się osypały nagle jej wdzięki, żeby się stała delikatnym cieniem, czemś zupełnie lotnem, z pojęt cieleśnych wyzutem, mgłą otulającą ich głowy i chyłącą je ku sobie.

Wydało się jej czemś strasznem, przeciwnem całej naturze uczuć, ta wrogość ludzi splecionych węzłem gorącej miłości w jej sercu i ten wjaśniony ich chłód, jak ostry kawał lodu, legł między pierśiami.

Przeniknęło ją na chwilę jakieś srogie uczucie, okrutna myśl, że gdyby to było możliwe, rozdarłaby ją w walce o nią na dwoje i nagły krzyk boleści wybiegł na jej usta, poczem nastąpił straszny atak, w którym straciła przytomność.

A gdy ocknęła się, ujrzała nad sobą stroskaną, jakby postarzałą, twarz Brunona i krótki list od Stefana przy łóżku.

— Lili! — pisał — twoje milczenie i twa pozorowana rozmaitemi przeskodami zwłoka wyniszczą mnie do cna.

Powieść moja mi zbrzydła, nie jestem w stanie wprost myśleć o czem innem, jak o tobie. Podniosły się we mnie wszystkie przeżyte bóle i płoną, jak żywe!

Otworzy się stare blizny i jedzą mi duszę, jak gangrena. Ciemno mi jest, choć słońce świeci, pusto i zimno. Zgasiłaś mi słońce, zabrałaś ciepło uczucia i myśli, że nie mam czem żyć.

Zabijasz mi duszę powolną torturą, ty, niby dobra i taka o mnie troskliwa, ty, o której nie wiem, co myśleć, czyś istotnie chora, czy tylko przewrotna! Nie mogę dłużej pisać, serce me otrute, poszarpane nerwy, rany w mózgu“...

I w liście Stefana było niewiele przesady, dużo szczerzej prawdy, wyrażonej jedynie w sposób jaskrawy.

Skir tęsknoty i złych, podejrzliwych myśli toczył mu duszę; niepokój oczekiwania, gorycz zawodu szarpała mu nerwy. Stał się istotnie niezdolnym do pracy. Chodził, jak błędny, przepędzał czas jakby w marnie, budził się w godzinach wieczornej i rannej poczty i drząc wewnętrznie, oczekiwał przy oknie na listonosza; gdy ten wchodził w bramę domu, stawał przy drzwiach z zastygłym pulsem, potem w takt jego kroków zaczynało bić zaleknione serce, a gdy pocztylion mijał drzwi, drętwiało w nim wszystko, z głuchym jękiem walił się na łóżko i zaciśnięte, cierpiące palce wpijał w fałdy kołdry. Doświadczał wewnątrz dziwnych fizycznych dolegliwości; czasem jakby tęga obręcz opasywała mu głowę i biodra, spazmatyczne łkania targały mu trzewia; czasem

całe ciało, wszystkie mięśnie chwytają jakby tężyć i coś jakby wciągało mu w głąb czaszkę oczy.

Nocami prześladowały go zjawy: czuł to jej, to inne różane, dziewczęce usta na ustach, pochylała się nad nim jej kształtna postać, w półśnie usiłował objąć jej kibić — budził się i rozpyślało się wszystko w mroku nocy, a zrozpaczone ręce, chwytając pustkę, opadały jak martwe na pełne szlochu piersi.

— Niema Boga, jeżeli jest, to zły — migały mu okrutne myśli.

— Bogaty kolezka kupił, a właściwie ukradł, bo nie zapłacił, przyjaciel młodości — ogarniała go wściekłość i krwiożercze zamiary, z których się sam natrząsał, czując swą bezsilność pod tym względem.

— Zamówiła obiady i usługi, co za sumienność, co za przezorność — ironizował — jak to, żegnając mnie serdecznie, obmyślała sobie wszystko...

Stawał przed jej fotografią i, patrzając na tę jasną twarz i szczere oczy, szeptał:

— Więc tak może wyglądać kłamstwo! — ale w miarę, jak spoglądał w jej wizerunek, roztopiał mu się gniew w piersi i w oczach stawały lzy. Rozpadały się w proch złote myśli, duszę wypełniał po brzegi żal i serce pogrążało się zwolna w ton melancholii, drgającej płaczem utopionych na dnie smutków...

I w tem wzruszeniu Świada żałował paru ostrych zdań swego listu i napisał drugi:

— Och, Lili, czuję, że cię Kocham i przestać nie mogę; wybacz mi i zapomnij te złe słowa, które wyłożył ze mnie piekielny ból. Nie wierz mi ani teraz, ani nigdy. Może znajdę w tem pociechę i siły, że na ruinach mego szczęścia twoje zakwitnie. Przyślij mi choć kilka dobrych słów, bym niemi żył i czuł, że nie stałem się dla ciebie niczem.

Napisz mi całą prawdę, bo najgorsza będzie lepsza, niż ten stan niepokoju i niepewności. Nerwy moje są wyciągnięte, jak pękające struny, które szpony złej doli targają, a to bardzo męczą i dotkliwie boli.

Nie odejdziesz odemnie swobodnie, nie możesz odejść, bo zbyt silnie do serca twego przyrośłem; będziesz musiała oderwać i cząstka włókien z krwawiącego serca do twojego przylgnie na wieki...

Co potem będzie, czy zasklepi się ta wyrwa, czy też zabrana przez ciebie cząsteczka da mi wrażenie wiecznej utraty, nieugaszonej tęsknoty i wiecznego smutku — nie wiem.

Kochałem cię i Kocham tak, jak nie każdej dane jest być kochaną na świecie.

Kochałem całą duszą, sercem, krwią i ciałem, to też dziś i serce, i nerwy, i krew, i każdy fibr ciała cierpi. Czuję się, jak rozbity, ani jed-

nego zdrowego miejsca nie znajduję w sobie, nie wiem, czy można się będzie z tego uleczyć, a jeśli z pod tego ciosu dźwignąć się zdołam, to zostanę kaleką.

Cóż robić?! Uczuciom rozkazywać niepodobna: idą, jak chcą i gdzie chcą... moje ku tobie — twe mimo.

TEODOR JESKE-CHOIŃSKI.

Katarzyna Sforza-Riario.

Kobieta-władca.

7

Któryś z kapitanów odezwał się:

— Jesteśmy komarami pod kamiennym walcem młyna wobec potęgi, jaka się na nas wali. Uchodźmy, zanim nas ten walec dosięgnie i zmiażdży.

Katarzyna odwróciła się ruchem gwałtownym i fuknęła:

— Tchórze niech ratują swoje nędzne życie ucieczką. W piersi Katarzyny Sforza nie bije serce zajęcze. Pokażę tym francuzom, że i ja umiem strzelać z armat.

Zawstydził się przezorny kapitan. Spoliczkowała go odwaga kobiety. Skrył się za plecy kolegów.

Co Katarzyna przewidywała, stało się. Umarł Innocenty VIII. Miejsce jego zajął Aleksander VI (Rodrigo Borgia). I ten papież miał nepotów, którzy wyciągali chciwie ręce po lenna kościelne. Jego syn, Cezar, przewrotny, bezlitosny i pyszny, jak szatan, sięgał po koronę królewską. Całą Italię postanowił zdobyć dla siebie. Zaczął od Romarii.

Katarzyna wiedziała, co ją czeka, gdyby się dostała w szpony tego „demona Renesansu”. Tak samo przewrotna, bezlitosna, pyszna, chciała władzy, jak on, znała i stosowała środki, torujące drogę do tronów kondotyerskich. Połknęła ją ten dyabeł, jak ona połykała wszystkich swoich przeciwników.

Więc postanowiła się bronić do ostatniej kropli krwi. Może przyśle jej cesarz św. państwa rzymskiego odsiecz, może przybiegnie z pomocą któryś z sąsiadów — ludziła się.

Ludziła się daremnie. Nie litowała się ona nad nikim, nie litowano się także nad nią. Miasto otworzyło Cezarowi bramy bez oporu. Został jej tylko zamek i garstka najemnych żołnierzy.

Krwawo wschodziło słońce dnia 12-go stycznia 1500-go roku. Wojska Borgii otoczyły warownię.

— Hej! Niech kapela rżnie do tańca, niech się wino leje strugami! — rozkazała Katarzyna. — Niech się moi wierni żołnierze bawia wesolo przed bitwą!

Tak przynajmniej mnie się zdaje, bo trudno nie uwierzyć, że tak jest istotnie. Chwytałem się zdaleka nadziei, a gdy jej coraz mniej, chwytam się niczego — na wstępie nitce nad przepaścią wiszę i jestem tak znużony, że chciałbym się raz oberwać i runąć.

Dalszy ciąg nastąpi.

Rżnęła kapela, tryskało wino z beczek. Żołnierz tańczył i pił.

Do bramy zamku zastukał poseł Cezara Borgii.

— Jego Wysokość, Książę Valentino, litując się nad słabą kobietą, wzywa waszą Magnificencję do oddania twierdzy w jego szlachetne ręce — mówił poseł. — Jego Wysokość obiecuje waszej Magnificencji wolność i 4000 dukatów rocznej pensji dla niej i dla jej dzieci.

Katarzyna znała z osobistej praktyki politycznej „litość”, „szlachetność” i „obietnice” zwycięzców swego czasu. I ona umiała oślepić wrogów szlachetnymi obietnicami, których nigdy nie dotrzymywała.

— Nie potrzebuję litości księcia Valentino, ani jego obietnic — odrzekła. — Sama sobie poradzę. Księciu powiedzcie, iż uirzy przedzej dyabła na koniu, aniżeli żebrząca Katarzyna Sforza u swoich stóp.

A odwróciwszy się do żołnierzy, komenderowała:

— Ognia!

Zapaliła sama lont armatni. Rozległ się pierwszy grzmot bitwy...

Zatrzęsła się ziemia, drżały wszystkie okna w mieście, tuman dymu kłębił się nad zamkiem. Znakomita artyleria francuska zaczęła pracować.

Pracowała doskonale. Z paszcz armat wylatywał grad kul, skierowany w jednym kierunku. Sypały się z murów zamku gruz strzaskanych kamieni i cegieł, rozszizeni się wylom po każdym strzale. Przez ten wylom wtargnie do warowni wojsko Borgii.

Zrozumiała Katarzyna zamiary wroga. Zagrzewała żołnierzy do walki, biegła od armaty do armaty, nie zwracając uwagi na kule, które syczały dokoła niej.

Wylom stawał się z każdą godziną coraz szerszy, wróg podsuwał się coraz bliżej.

— Nie zdzierżymy! — wołali kapitanowie. — Za mało nas, wytną całą załogę w pień...

— Nie zdzierżymy — łopotalo w mózgu Katarzyny.

Przez chwilę stała wśród swoich żołnierzy z głową obwisłą, złamaną, bezradną. Ale tylko przez chwilę. Okrzyk szturmujących francuzów rozproszył jej zrozpaczone myśli. Podrzuciła głowę dumnie i rozkazała:

— Zapalić prochy! Jeśli nam przeznaczono zginąć, gińmy po żołniersku. Wylećmy razem z zamkiem w powietrze!

Ani jeden żołnierz nie ruszył się z miejsca. Żaden z nich nie miał ochoty jechać z połamanym; gnatami na drugi świat. Było już zresztą za późno. Fala zwycięzców zalewała właśnie zamek.

Tak szybko wtargnęli zdobywcy przez wyłom do warowni, iż Katarzyna nie zdążyła uciec tajnym gangiem. Silne ramiona jakiegoś francuskiego kapitana objęły ją z tyłu i obezwładniły.

Była jeńcem...

Po raz trzeci przekraczała progi Rzymu. Ale tym razem nie na koniu, witana przez tłum grzmiącym *eviva*. Szła pieszo, spętana, za rydwanem Cezara Borgii. W złote kajdany okuła ją zwycięzca i prowadził do więzienia zwyczajem rzymskich imperatorów, których jego pycha usiłowała naśladować.

Dwa lata jęczała w strasznych lochach Św. Anioła, odcięta od całego świata. Szczury, węże i nietoperze były jej towarzyszami.

Miała dość czasu rozpamiętywać swoją świetną przeszłość i długi łańcuch swoich grzechów i zbrodni. Ale nie o swoich grzechach i zbrodniach myślała, lecz tylko o świetnej przeszłości i o środkach, któreby ją znów posadziły na tronie tyranki. Dobrze jej było na tym tronie, drwić mogła swobodnie z cnoty niewieściej matron „wielkiego wieku“, z chrześcijańskiej miłości bliźniego, z honoru rycerskiego, z nędzy ubogich, z rozpaczyny wdów i sierot zamordowanych ofiar jej tygrysiej vendetty. Zapomniała, że Bóg nie jest rychłym, ale sprawiedliwym.

Protekcja cesarza rzymskiego i króla francuskiego zdjęła z niej kajdany i otworzyła żelazne drzwi jej więzienia. Była wolną, odetchnęła świeżym powietrzem. Ale wolność pod rządami Cezara Borgii równała się bezustannej trwodze o życie.

Wiedziała o tem Katarzyna i przemyślała teraz nad tem, jak wyostać się z pod nadzoru tego szatana w masce wytwornego *cavaliera*.

Jej spryt niewieści przekreślił plany „demonu Renesansu“. Upatrzywszy chwilę odpowiednią, wsiadła na barkę rybacką, popłynęła Tybrem do Ostii, z Ostii okrętem do Livorno, z Livorno konno do Florencji.

Odetchnęła nareszcie pełną pierśią. Była naprawdę wolną.

VII.

W willi Castello w pobliżu Florencji leżała Katarzyna na łożu boleści. Jej energia walczyła z ciężką niemocą.

Leżała bezsilna, złamana, jak kwiat, stoczony przez szpetnego robaka. Tym robakiem była zmiażdżona pycha.

Zamieszkawszy w pobliżu Florencji w majątku Jana Medici, którego zaślubiła potajemnie przed jego śmiercią, nie straciła nadziei powrotu do Forli i Imoli. Żyć bez panowania, bez rządów nie umiała, nie chciała jej ambicja.

Los zdawał się sprzyjać jej niegasnącej żądzy władzy. Aleksander VI umarł w 1503 roku, a z jego śmiercią runęła potęga Cezara Borgii, wroga Sforzów. Po Aleksandrze zasiadł na tronie papieskim Julian della Rovere (Juliusz II), brat cioteczny Hieronima Riaria. Nowy papież nie pominie dzieci swojego krewniaka i odda im dziedzictwo po ojcu — spodziewała się.

Spodziewała się bez skutku. Bo tyrańską papieską włożył na mądrą głowę mąż tak samo energiczny, jak ona, z tą tylko różnicą, że jego energia nie miała zamiaru karmić chciwość; nepotów, lecz postanowiła wzmocnić chwiejącą się powagę i siłę Kościoła.

Juliusz II nie przychylił się do prośby Katarzyny. Niech kobiety pilnują domu i dzieci; zamiast wtrącać się do spraw, które przewyższają ich siły. Nie dlatego podobało się Opatrzności postawić mnie na czele Kościoła, abym nasycił chciwość i ambicję krewniaków, lecz dlatego, abym służył Bogu — odpowiedział jej zwięźle, szorstko, po swojemu. W kuntoazję dworską i kłamstwa dyplomatyczne nie bawił się ten papież-żołnierz. Przemawiał zawsze prosto z mostu.

Odrzucona przez papieża, udała się Katarzyna do swoich przyjaciół w Romanii. Zbierzcie dla mnie liczą-

niejszą bandę — pisała do nich — a podejmuję się na jej czele zdobyć napowrót Imolę i Forli.

Przyjaciele milczeli. Przyjaciółmi gwałtownej kobiety byli dopóty, dopóki rozporządzała torturami, mieczem kata i szubienicą i dopóty mogła rozdawać urzędy i dukaty. Po wrocie rządów „tygrysicy“ nie pragnął nikt. Zbyt głęboko zapisało się jej okrucieństwo w pamięci Romanii.

Opuścili ją, zwyciężoną, powaloną, wszyscy. Nawet jej synowie nie zapomnieli matce, że pozwałała ich swoim kochankom policzkować i że wtrącała ich do lochu zbrodniarzy.

Została sama, znieenawidzona i omijana, jak uboga sierota. Tej klęski nie mogła znieść jej pycha. Żałowała powoli robaka samotności, upokorzenia. Wiedziała szybko, załamywała się, jak spróchniałe drzewo. Gdy robak bezsilności dotarł do jej wnętrza, zastukała śmierć do jej drzwi.

Dnia 28 maja 1509 roku dokonała burzliwego życia. Czterdziesty piąty rok dopiero liczyła.

Poezja i kronika XVI wieku postawiły jej pomnik sławy, uwielbiały jej „bohaterskość“. A ta jej „bohaterskość“ była właściwie tylko szatańską, krańcowo-egoistyczną pychą, podszytą odwagą kondotyera-bandyty. Niech wszyscy obok mnie zginą, bylebym się ja mogła kąpać w upajającym potoku władzy, bogactwa i rozkoszy seksualnych.

Renesans lubił tego rodzaju „indywidualności“. Uczył przecież „pełni życia“, nieskrępowanego pętlami etyki chrześcijańskiej.

Bliższy prawdzie pomnik stworzyła fantazja ludu słynnej „tygrysicy“.

Do dziś dnia opowiadają wioski i zamki romańskie o widmie Katarzyny Sforza, pokutującej dotąd za grzechy i zbrodnie, popełnione na ziemi włoskiej.

W marcu 1916 r.

KONIEC.

WIKTOR GOMULICKI.



Gdy obcy wstąpi do mojego domu,
Na jego czole szukam śladów gromu,
I szukam śladu żrących łez na licu,
Jak bruzd po lawie skrzepłej na księżycu.
Bo żeby dziś być drewnem albo skałą,
Trzeba mieć duszę na ból skamieniałą,
Żeby dziś z jasnym jawić się obliczem,
Trzeba być Bogiem — czartem — albo niczem!

Monolog wyborcy.

...Powiadam ci, żonusiu, ledwo ogłosili te wybory, a jaki już jest postępek w Warszawie, jakie nowe porządki, nie uwierzyłybyś! Co zmian na Nowym Świecie!... Posłuchaj tylko... Idziemy dziś o szóstej z Antosiem na czarną i na partyjkę, ja wygrywam coś tam... niewiele... ale ty wiesz, że ja nieuczciwego zarobku do domu przynosić nie lubię, więc powiadam do Antosia: „Zajdziemy tam... wiesz gdzie...”. Antos powiada: „wiem gdzie, dobrze. Idziemy więc na Nowy. A muszę ci się przyznać, że już byliśmy po dwóch fiersznych i jednym prawdziwym... tak do kawy... Zbliżyliśmy się, przyglądaliśmy, jakoś inaczej wygląda: firaneczki, kwiatuszki, barwy narodowe... A wiemy przecież doskonale, że to tutaj... Nowy właściciel, myślimy sobie, szykuje się na jakiś obchód... Wchodzi mi: czyściutko, powiadam ci, przyjemnie, aż pachnie, wcale nie po warszawsku! Stolików jakoś mało, ale są, kanapka w rogu, krzeselka... Bufetu tylko nie widać. Siadamy z brzegu. „Panowie zapewne w kwestyi proporcji?”... — podchodzi do nas jakiś młody, elegancki jegomość... „Tak, powiadam, ale dawaj pan całą porcję, nie proporcję, bośmy rzetelnie głodni!”. Od słowa do słowa okazało się, żeśmy się wysypali, bo to nie był bar, uważasz, tylko komitet! Ajakże! Elegancki, komfortowy komitet od frontu, z szyldem, z firankami, ze wszystkim! Ale nas nie wylali, żonusiu-obywatelko. Nie! Jeszcze nas miękciej posadzili, potem wzięli do drugiego stołu i wszystko nam rozłożyli, jak na półmisku. Kuryeralność, proporcjonalność, demokratyczność, postępowość — wszystko! Ale najciekawsze wiesz, co się okazało: ani byś przypuszczała nawet! Uważasz, i ja i Antos jesteśmy inteligencja! Ajakże! Ja nie miałem o tem pojęcia, ale tak jest! Trzecia kurya! I obaj mamy prawo! Takeśmy się ucieszyli z tego z Antosiem, że ja powiadam do niego: „Chodźmy Antos, to pewno naprzeciwno, bo mieli przeniesić od 15-go”. Walimy naprzeciwno, ale tam, wyobraź sobie, także komitet, ajakże! I znów stoliki, krzeselka, firaneczki. I znowu nam wszystko wyłożyli na półmisku: kuryeralność, proporcjonalność, demokratyczność... I nawet więcej jeszcze, bo i patriotyczność, i narodowościowość — — — I także z miejsca: inteligencja! Ajakże! Małośmy się z Antosiem nie popłakali, że nas tak wszyscy, panie, wszędzie odrazu z miny — — — „Ale teraz chodźmy już naprawdę”, mówię do Antosia. Walimy z powrotem na tamtą stronę, szukamy — trzeci komitet! Ajakże! „Nie, powiadam, już niema po co, wiemy, że jesteśmy inteligencja”. I dopiero, uważasz, żonusiu, między trzecim komitetem a pierwszym znaleźliśmy nareszcie... Usiedliśmy przy stoliku i jak zaczęliśmy przypominać sobie, cośmy usłyszeli, takeśmy się z Antosiem trochę... Zresztą, zupełnie sprawiedliwie! Bo i zważ, żonusiu-obywatelko: ponieważ będziemy wybierali, więc przez to przyczynimy się do: 1) zwalczania spekulacji (nie będzie ci już masło skakało na 2 ruble!); 2) podniesienia zdrowotności (nie będziesz musiała wydawać tyle pieniędzy na wyjazdy do badań!); 3) polepszenia chodników i komunikacji śródmiejskiej (nie będę ci potrzebował kupować bucików co dwa miesiące!), i tak dalej — widzisz więc, ile przez to pieniędzy zostanie w domu na inne

wydatki!... I to wszystko dzięki temu, że wyszedłem dziś z domu na partyjkę domina i dowiedziałem się, że jestem inteligencja! A także się na mnie gniewała, że wychodzę, żonusiu...

...Tak, żono-obywatelko, jestem wyborcą i powiadam ci: nie będzie już drożyzny, nie będzie spekulacji, nie będzie

braku pieniędzy! Będzie jedna wielka kurya centralnego ładu i porządku, jedna powszechna proporcja demokratycznego dostatku! Jeżeli mi nie wierzysz, żonodaczko, ile że jestem trochę tego..., to idź na pierwszy lepszy róg, czytaj, a przekonasz się...

B. Gorceyński.

E. L. Voynich.

Przekład z angielskiego
przez H. J. P.

B A K.

26

POWIEŚĆ.

Urwał; usiadł przy oknie, kryjąc twarz w dłoniach.

— Długo się namyślałeś, żeby się wreszcie zlitować — rzekła cicho. — Niewiele sam litości w życiu zaznałem — odpowiedział — i z początku... zdawało mi się... że ci to będzie obojętnem.

— Ale teraz już ci się tak nie zdaje?

Poczekaj chwilę, żeby przemówił, poczem stanęła nad nim.

— Powiedz mi nareszcie prawdę, — wyszeptowała — pomyśl, że jeżeli zginiesz, a ja cię przeżyję, pozostanę już tak przez całe życie w niepewności, i nie dowiem się nigdy...

Ujął obie jej ręce i trzymał w silnym uścisku.

— Jeżeli zginę — — — Widzisz, gdy uciekłem do Południowej Ameryki... Ach! Martini!

Uciął nagle i zerwawszy się gwałtownie, otworzył drzwi. Martini wycierał nogi o matę.

— Punktualny co d...o...o...m...minuty, jak zwykle. Jesteś żywym chronometrem, Martini. Czy to jest ten p...p...płaszcz?

— Tak; i jeszcze parę drobiazgów. Chroniłem je, jak mogłem, by nie zmokły, bo deszcz leje. Będziesz miał przykrą podróż.

— O, to najmniejsza. A jakże tam na ulicy? Pusto?

— Tak; wszyscy szpiegowie poszli widocznie spać. I nic dziwnego; na taką szkaradną noc. Czy to kawa, Gemmo? Trzeba mu dać coś gorącego przed wyjazdem; inaczej się zaziębi.

— To czarna kawa; bardzo mocna. Pójdę ugotować mleko.

Poszła do kuchni, konwulsyjnie zaciskając zęby i ręce, by nie wybuchnąć płaczem. Gdy wróciła z mlekiem, Bak już był w płaszczu i nakładał skórzane kamasze, które mu przyniósł Martini. Wypił stojąco filiżankę kawy i wziął podróżny, o sześć kresach kapelusza.

— Już czas, Martini; musimy obejść w koło na wszelki wypadek. Zegnam panią tymczasem, Signora. Spotkamy się w Forli w piątek, jeżeli nic nadzwyczajnego nie zajdzie. Chwileczkę jeszcze: n...n...napiszę adres.

Wyrwał kartkę z notesu i nakreślił kilka słów ołówkiem.

— Ja mam ten adres — rzekła Gemma spokojnym, tępym głosem.

— Masz pani? No, niech będzie i ten na wszelki wypadek. Pójdź, Martini... Sz...sza! Ostrożnie, żeby drzwi nie skrzypnęły.

Zeszli po cichu na dół. Gdy drzwi frontowe zamknęły się za nimi, Gemma wróciła do pokoju i machinalnie rozwinęła trzymany w ręku papier. Poniżej adresu napisane było: „Tam powiem ci wszystko”.

ROZDZIAŁ II.

Był to dzień targowy w Brighelli; i chłopcy z okolicznych wiosek zeszli się z drobiem, trzoda i mleczywem. Krzykliwy tłum snuł się po rynku, śmiejąc się, żartując i kupując suszone figi, tanie ciastka i słonecznikowe ziarna. Śniade, boscie dzieciaki wylegiwały się w słońcu na rozprężonym bruku, a matki ich siedziały pod drzewami z masłem i jajami.

Gdy Monsignor Montanelli ukazał się na placu, otoczyły go gromady dziatwy, podając mu wielkie pęki irysów, maków i białych, górskich narcyzów. Montanelli namiętnie lubił dzikie kwiaty i lud tolerował mu to dobrodusznie, jako niewinną słabostkę, z którą takim mądrym człowiekowi bardzo było do twarzy. Gdyby ktoś inny nie tak powszechnie kochany i wielbiony napychał sobie dom zielskiem, to by się z niego wyśmiewano; ale „błogosławiony kardynał” mógł sobie na taki wybryk dziwactwa pozwolić.

— No, Maricciu — rzekł Montanelli, nachylając się, by pogłaskać jakiegoś malca po głowie — urosłeś. Odkąd cię nie widziałem. A jakże się miewa babka? Reumatyzm wciąż jej dokucza?

— Teraz jej lepiej trochę, wasza Eminencyo; ale matka znowu zapadła.

— Bardzo mi jej żal. Powiedz matce, żeby tu przyszła którego dnia; może doktor Giordani coś jej pomoże. Umieścimy ją tu na jakiś czas; zmiana dobrze jej zrobi. Lepiej wyglądasz, Luigi; jakże twoje oczy?

I krążył tak pomiędzy tłumem, gawędząc z góralami. Pamiętał zawsze imiona i lata dzieci; ich drobne zmartwienia i kłopoty ich rodziców; wypytывał o zdrowie pieszka, który zламаł nogę w Święta Bożego Narodzenia, lub o lalkę z gałganików, którą wóz na ostatnim jarmarku przejechał.

Wnet po jego powrocie do pałacu rozpoczął się targ. Jakiś kulaawy wyrobnik w niebieskiej koszuli z gestwiną czarnych włosów spadających mu na oczy i głęboką szramą na lewym policzku zbliżył się do straganu i łamaną włoszczyzną zażądał lemoniady.

— Wy nie tutejszy? — rzekła przekupka, nalewając mu napój i patrząc na niego.

— Nie. Jestem z Korsyki.

— Szukacie zarobku?

— Tak; sianokosy za pasem, a jeden pan, który ma folwark pod Ravenną, był niedawno w Bastii i mówił mi, że będzie u niego robota.

— Daj wam Boże, chociaż czas by bardzo zle u nas.

— Na Korsyce jeszcze gorsze, matko. Nie wiem, co się z nami biednym ludźmi stanie, jeżeli tak dalej pójdzie.

— Samiście tu przybyli?

— Nie; z towarzyszem. O! to on właśnie w tej czerwonej koszuli. Hola, Paolo!

Michele, usłyszawszy wołanie, zbliżył się z rękami w kieszeniach. Wyglądał niezgorzej na korsykańina, pomimo rudej peruki, którą włożył dla tem większej niepoznaki. Co się tyczy Bąka, ten był poprostu typowym.

Obaj wmieszali się w tłum; Michele gwizdząc przez zęby, a Bąk z tobołkiem na plecach, szurgając nogami po bruku, by możliwie najmniej widać było, że kuleje. Czekali na emisariusza, któremu mieli udzielić ważnych zleceń.

— Patrz, Marcone tam konno na rogu — szepnął nagle Michele i Bąk powlókł się w stronę jeźdca.

— Może pan potrzebuje kosiarza? — rzekł dotykając zniszczonej czapki i zakładając palec za uźdę. Był to umówiony znak i jeździec, mający wygląd wiejskiego obywatela, zsiadł z konia, rzucając mu cugle na szyć.

— A do jakiej roboty jesteś zdatny, mój kochany?

Bąk począł miętosić czapkę.

— Umieć ciąć trawę, pleść płoty — zaczął i tym samym tonem mówił dalej. — O pierwszej po północy koło piwnicy miej dwa dobre konie i wózek. Będę czekał w piwnicy. — Umieć też kopać, proszę pana, i...

— To wystarczy. Potrzeba mi tylko kosiarza. Byłeś już gdzie najmitą?

— Raz, proszę pana. Pamiętaj, żebyś był dobrze uzbrojony. Możemy się natknąć na szwadron. Nie jedź lasem... tamta droga bezpiec-

niejsza. Jeżeli spotkasz szpiegów, nie trać czasu na ceregiele; pął im prosto w łeb. — Pan będzie zadowolony ze mnie, proszę pana.

— To się da widzieć; bo mnie potrzeba doświadczonego kosiarza. Idźcie sobie, dziadku; nie mam drobnych.

— Jakiś obdarty żebrak zbliżył się do nich, zawodząc płaczliwie:

— Zlitujcie się nad biednym, ociemniałym, na imię Najświętszej Panny upraszam — — Uchodźcie stąd natychmiast; zbliża się konny szwadron. — Przenajświętsza Królowo Niebios, Panno Niepokalana — — Ciebie szukają, Rivarezie, będą tu za parę minut — — I niech was niebo nagrodzi — — Szpiegują was ze wszystkich stron. Nie wymkniecie się niepostrzeżenie...

Marcone wsunął cugle w rękę Bąka.

— Spiesz się. Pędź co koń wyskoczy do miasta, a potem skryj się w wąwozie. Jesteśmy wszyscy uzbrojeni; zatrzymamy ich na sobie przez jakie dziesięć minut.

— Nie; nie chcę, żeby was wzięto. Stańcie wszyscy razem i strzelajcie za mną w porządku. Zbliźcie się do naszych koni; stoją przy schodach pałacu; a noże trzymajcie w pogotowiu. Będziemy się cofali walcząc; a gdy zrzuć czapkę, przetrnijcie uźdę i każdy na najbliższego konia. Możemy w ten sposób uciec wszyscy do lasu.

Rozmawiali półgłosem, tak spokojnie, że nawet najbliższemu nie przyszło do głowy, by rozmowa ich tyczyła się czegoś innego, niż koszenia trawy. Marcone, prowadząc wierzchowca za cugle, posunął się w stronę uwiązanych koni. Bąk kuszył obok niego, a żebrak podążał za nimi z wyciągniętą ręką i płaczliwym skamłaniem. Michele nadszedł gwizdząc (zebrak ostrzegł go w przejściu) i spokojnie udzielił wiadomości; trzem wieśniakom, którzy pod drzewem jedli surowe cebule. Ci wstali natychmiast i poszli za nim, i nim ktokolwiek mógł zauważyć, wszyscy siedmiu stali przy stopniach pałacu, każdy z ręką na ukrytym pistolecie w pobliżu uwiązanych koni.

— Nie zdradzajcie się, dopóki nie dam znaku — rzekł Bąk cicho i wyraźnie. — Mogą nas nie poznać. Gdy wystrzelę, zaczynajcie w porządku. Nie strzelać do ludzi, lecz koniom w nogi; to uniemożliwi pościg. Trzech niech strzela, podczas gdy drudzy trzej będą nabijać ponownie pistolety. Gdyby ktokolwiek stanął pomiędzy wami i naszymi końmi, zabić go. Ja siadam na deresza. Gdy cisnę czapkę o ziemię, każdy na koń i w nogi.

— Otóż i oni — rzekł Michele i Bąk odwrócił się z wyrazem głupkowatego zdumienia, bo tłum nagle zaprzestał targu i zakołysał się niespokojnie.

Piętnastu uzbrojonych kawalerzystów wjechało zwolna na rynek. Posuwali się z wielką trudnością wśród zbitego tłumu i gdyby nie czujność pilnujących po rogach szpiegów, wszyscy spiskowcy mogli się byli wymknąć niepostrzeżenie, tak ogólna uwaga zwróciła się na żołnierzy. Michele przysunął się do Bąka.

— Gdybyśmy spróbowali teraz?

— Nie; szpiegi mają nas na oku i jeden z nich poznał mnie. Podszedł właśnie wskazać mnie kapitanowi. Jediną naszą nadzieją jest okulić im konie.

— Który to szpieg?

— Pierwszy, do którego strzele. Czyście gotowi? Wnet na nas uderza.

— Z drogi tam! — huknął kapitan. — W imię Jego Świątobliwości!

Tłum rozstał się zdumiony i przestraszony i żołnierze puścili się klusem ku stojącej przy schodach gromadzie. Bąk wyciągnął pistolet z zanadru i strzelił nie w stronę wojska, lecz do szpiega, który się zbliżał ku koniom, i który padł ze strzaskanym obojczykiem. Wnet potem rozległo się sześć innych strzałów, podczas, gdy spiskowcy cofali się spokojnie ku uwiązanim wierzchowcom.

Jeden z koni kawalerzystów potknął się i począł wierzgać, drugi padł na ziemię z okropnym kwikiem. Wówczas ponad wrzawą wystraszonego tłumu podniósł się głos dowodzącego oficera, który stanął w strzemiionach z obnażonym pałaszem nad głową:

— Tędy! Za mną!

Ale w tej samej chwili zachwiał się na siodle; Bąk strzelił był ponownie. Krew popłynęła cienką nitką poprzez mundur kapitana, on jednak umocnił się z wysiłkiem i chwytając konia za grzywę, krzyknął wściekle:

— Zabić tego kulawego dyabła, jeżeli się nie da wziąć go żywcem! To Rivarez!

— Prędko, dajcie drugi pistolet — zawołał Bąk do swoich ludzi — i w nogi!

Zrzucił czapkę na ziemię. Nie było chwili do stracenia, bo pałasze rozwścieczonych żołnierzy błysnęły przed nim.

— Złóżcie broń wszyscy — zabrzmiał dźwięczny, nakazujący głos.

Kardynał Montanelli stanął nagle pomiędzy walczącymi i jeden z żołnierzy krzyknął z przerażeniem:

— Wasza Eminencyo! Przez Boga! Oni zamordują Waszą Eminencyę!

Montanelli posunął się jeszcze krokiem bliżej i stanął naprost lufy pistoletu Bąka.

Pięciu z pomiędzy spiskowców pędziło już co koń wyskoczy strumą uliczką. Marcone wskoczył na swego wierzchowca. Ale nim ruszył z miejsca, obejrzał się jeszcze za przywódcą. Deresz był tuż pod ręką i

wszyscy mogli się ocalić, ale gdy postać w szkarłatnej sutannie stanęła przed Bakiem, ten zachwiał się i opuścił rękę trzymającą pistolet. Ta chwila rozstrzygnęła o wszystkim. Błyskawicznie otoczono go i powalono na ziemię. Cięcie pałasza płazem wytrąciło mu broń z ręki. Marccone spał konia ostrogami; kopyta kawaleryjskich koni tętniały już za nim, zostawać było to samo, co dać się pojmać bez żadnej potrzeby. Popędził więc cwałem, a gdy odwrócił się na siodle, by strzelić po raz ostatni w zęby najbliższego ze ściągających, zobaczył Baka z zakrwawioną twarzą, tratowanego nogami żołnierzy i szpiegów, i usłyszał dziękę przekleństw i okrzyki tryumfu i wściekłości zwycięzców.

Montanelli nie spostrzegł, co się stało; zeszedł ze schodów i wmieszał się w przerażony tłum, starając się uspokoić go. W chwili, gdy pochylił się nad zranionym szpiegiem, ludzie zaczęli się rozstępować z krzykiem i Montanelli podniósł głowę. Żołnierze maszerowali przez plac, ciągnąc za sobą więźnia na powrozie, którym związano mu ręce. Twarz Baka była trupio-siną z bólu i wyczerpania i z trudem łowił oddech; spojrzał jednak na kardynała i uśmiechając się zbielełymi ustami, wyszeptał:

— W...w...winszuję Waszej Eminencji!

* * *

W pięć dni potem Martin przybył do Forli. Otrzymał od Gemmy paczkę drukowanych cyrkularzy, co było umówionym znakiem, wzywającym go wrazie nagłej potrzeby, i, przypomniawszy sobie rozmowę na tarasie, odgadł natychmiast prawdę. Przez całą drogę powtarzał sobie, że nie było żadnych danych do przypuszczenia, że coś się stało z Bakiem, i że nedoręcznością było przywiązywać wagę do dziecinnych przesądów; ale im gorliwiej walczył z tą myślą, tem ona się go uparciej czepiała.

— Odgadłem, jak się rzeczy mają — rzekł wchodząc do pokoju Gemmy. — Rivarez aresztowany?

— Aresztowano go we wtorek w Brisighelli. Bronił się rozpaczliwie; zranił kapitana szwadronu i szpiega.

— Zbrojny opór; to źle.

— Ach! to najmniejsza; był już tak bardzo skompromitowany, że jeden więcej lub mniej wystrzał nie stanowił różnicy.

— Jak myślisz? Co z nim uczynią?

Gemma pobladała jeszcze bardziej.

— Myślę — rzekła — że nie powinniśmy czekać, by się przekonać co z nim uczynią.

— Sądzisz, że będziemy mogli ułatwić mu ucieczkę?

— Musimy!

Odwrócił się i zaczął gwizdać z rękami w tył założonemi. Gemma pozwoliła mu namyśleć się w spokoju. Siedziała milcząca, opierając głowę o poręcz krzesła i patrząc w przestrzeń z jakimś tragicznym skupieniem. Była w tej chwili uderzająco podobna do „Melancholli“ Dürera.

— Widziałas go? — zapytał Martin, zatrzymując się nagle przed nią.

— Nie; mieliśmy się spotkać na zajątrz.

— Tak; pamiętam. Gdzie on jest?

— W fortecy, bardzo ściśle strzeżony i, jak powiadają, w kajdanach.

Machnął ręką obojętnie.

— O! to najmniejsza; dobra piłka przepiłuje każde kajdany. Byle tylko nie był ranny.

— Podobno jest lekko ranny, ale na pewno nie wiemy. Niech ci to sam Michele opowie; był obecnym przy aresztowaniu.

— Jakim że sposobem i jego również nie wzięli? Czyżby uciekł i zostawił Rivareza bez pomocy?

— To nie jego wina; walczył, dopóki tylko było można, i ściśle wypełnił jego rozkazy, jak również inni. Jeden tylko Rivarez stracił jakoby głowę w ostatniej chwili. Jest w tem coś niepojętego. Poczekaj chwilę; pójdę po Michele'go.

Wyszła z pokoju i wróciła niebawem, a z nią wszedł Michele i jakiś barczysty góral.

— To jest Marco — rzekła. — Słyszałeś o nim; to jeden z naszych przemytników. Tylko co przybył i może on powie nam coś więcej. Michele; to jest Cezar Martin, o którym ci mówiłam. Opowiedz mu, jak się to stało.

Michele zdał zwięźle sprawę z potyczki ze szwadronem.

— Nie rozumiem, jak się to stać mogło — zakończył — żaden z nas nie byłby go opuścił, gdybyśmy przypuszczali, że go wezmą; ale wydał nam jaknajdokładniejsze wskazówki, i do głowy nam nie przyszło, gdy cisnął czapkę na ziemię, że będzie czekał, aż go otoczą. Konia miał pod ręką; widziałem, jak przeciął uzdę i sam dałem mu nabity pistolet, zanim skoczyłem na swego. Jedno tylko przypuszczam, że potknął się wsiadając, boć przecie kuleje. Ale i wtedy nawet mógł strzelić.

— Nie; to nie to — przerwał Marccone. — On nawet nie próbował dosiąść konia. Ja uciekłem ostatni, bo mój koń przestraszył się strzelaniny i stanął dęba i obejrzałem się jeszcze na siodle. Byłby uciekł, jak nie, gdyby nie kardynał.

— Ach! — wykrzyknęła Gemma mimowolnie, a Martin powtórzył ze zdumieniem:

— Kardynał?

— Tak; kardynał rzucił się pomiędzy niego a żołnierzy. Sądzę, że

Rivarez musiał się przestraszyć, bo opuścił pistolet, a drugą ręką zakrył sobie oczy; no, i wtedy, oczywiście, rzucili się na niego.

— Nie mogę tego zrozumieć — rzekł Michele. — To tak niepodobne na Rivareza, żeby tracić głowę w ostatniej chwili.

— Może opuścił pistolet, żeby nie zabić bezbronnego człowieka — wtrącił Martin.

Michele wzruszył ramionami.

— Bezbronni ludzie nie powinni wścibiać nosa pomiędzy waloczących — odparł. — Wojna jest wojną.

Odwrócił się, przygryzając wargi. Oczy mu zwilgotniały.

— Bądźcobądź — rzekł Martin — stało się, i niema co tracić czasu na rozważanie, jak się to stać mogło. Teraz chodzi tylko o to, aby mu ułatwić ucieczkę. Boś myśle, że wszyscy tego chcacie?

Michele nie zadał sobie nawet trudu odpowiedzieć na tak zbyteczne pytanie, a przemytnik zauważył tylko:

— Zabiłbym rodzonego brata, gdyby nie chciał.

— Bardzo dobrze, zatem. Przedewszystkiem macie tu plan fortecy?

Gemma otworzyła jakąś szufladę i wydostała kilka arkuszy papieru.

— Mam wszystkie plany. To parter fortecy; to wyższe i niższe piętra wież; a to plan wałów. To drogi prowadzące w dolinę; a to ścieżki i kryjówki w górach i przejścia podziemne.

— Czy wiesz, w której wieży go zamknęto?

— We wschodniej; w okrągłej celij z okratowanym oknem. Naznaczyłam ją na planie.

— Skąd masz tę wiadomość?

— Od żołnierza ze straży przezwanej „Świerszczem“. To krewniak Gina, jednego z naszych ludzi.

— Widzę, że nie traciłaś czasu.

— Bo go do stracenia niema. Gina natychmiast udał się do Brisighelli, a niektóre z planów jużemy mieli. Listę kryjówek przygotował sam Rivarez, jak to możesz poznać z pisma.

— Jakiego rodzaju ludzie są ci żołnierze ze straży?

— Tego nie mogliśmy dotąd bliżej zbadać: Świerszcz jest tam od niedawna i nie zna ich.

— Musimy się dowiedzieć od Gina, co myśleć o samym Świerszczu. A nie wiadomo, jakie są zamiary rządu? Czy będą sądzić Rivareza w Brisighelli, czy w Ravnennie?

— Tego nie wiemy. Ravenna jest głównem miastem Legacji i podług prawa, ważne sprawy tam tylko mogą być sądzone, w Trybunale Pierwszej Instancji. Ale władze nie liczą się ściśle z przepisami prawa i w takim wypadku wszystko zależy od osobistego widzimisie naczelnej głowy.

— Nie przewiozą go do Ravnenny — wtrącił Michele.

— Skąd to przypuszczenie?

— Jestem tego pewny. Pułkownik Ferrari, wojenny gubernator Brisighelli, jest stryjem oficera, którego Rivarez zranił; to mściwy człowiek; nie wypuści z rąk sposobności zmiażdżenia wroga.

— Myślisz, że postara się o zatrzymanie Rivareza tutaj?

— Myślę, że postara się o to, by go powieszono.

Martini spojrzał szybko na Gemmę. Była bardzo blada, ale twarz jej nie zmieniła się na te słowa. Widocznie myśl ta nie była dla niej nowością.

— Nie mógłby tego uczynić bez pewnych formalności — rzekła spokojnie. — Ale może zwołać sąd wojenny pod jakimś pozorem i usprawiedliwić się potem koniecznością uspokojenia miasta.

— A kardynał? Czy przystałby na coś podobnego?

— Kardynał nie ma żadnej władzy w sprawach wojskowych.

— Nie; ale ma ogromne wpływy. Gubernator nie odważyłby się na taki krok bez jego zezwolenia.

— Ktoregoby nigdy nie użył — przerwał Marcone. — Montanelli był zawsze przeciwnikiem Komisji Wojskowych; dopóki tylko Rivarez będzie w Brisighelli, nic ważnego mu nie grozi. Kardynał weźmie zawsze stronę każdego więźnia. Ale mogą go przewieźć do Ravy. A tam będzie zgubiony.

— Nie dopuścilibyśmy do tego — rzekł Michele. — Moglibyśmy odbić go w drodze, ale wydostać go z fortecy, to cięższa sprawa.

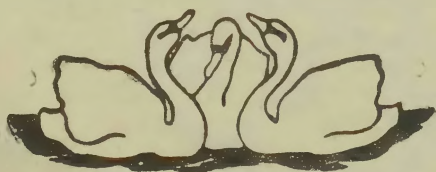
— Według mnie — rzekła Gemma — niema co czekać na sposobność przewożenia go do Ravy. Musimy próbować w Brisighelli i nie mamy czasu do stracenia. Cezarze! Przystudujemy te plany wspólnie i może uda nam się coś wymyśleć na tej postawie. Mnie coś chodzi po głowie; ale jest w tem jeden punkt, którego nie mogę rozwiązać.

— Pójdź, Marcone — rzekł Michele wstając — zostawmy ich, niech się naradzą. Ja muszę być dziś popołudniu w Fognano i chcę cię zabrać ze sobą. Vincenzo nie przysłał jeszcze tych ładunków; a powinny być tu już wczoraj.

Gdy obaj mężczyźni wyszli, Martini zbliżył się do Gemmy i w milczeniu ujął jej rękę. Pozostawiła ją chwilę w jego dłoni.

— Byłeś zawsze dobrym przyjacielem, Cezarze — rzekła wreszcie — i dzielny pomocnikiem w potrzebie. A teraz rozpatrzmy się w tych planach.

Dalszy ciąg nastąpi.



Z literatury.

Wieś i miasteczko.

Towarzystwo opieki nad zabytkami przeszłości wydało pierwszy zeszyt niezmiernie interesującego albumu p. t. „Wieś i miasteczko”. Redakcja tego albumu spoczywa w rękach wytrawnej komisji, złożonej z pp. Zdzisława Kalinowskiego, Juliusza Kłosa, Zdzisława Maczeńskiego, Kazimierza Stefańskiego, Kazimierza Skórewicza, Rudolfa Swierczyńskiego i Jarosława Wojciechowskiego. Komisja ta zadania swoje określa piórem Juliusza Kłosa:

„Dążąc do ujęcia charakterystyki całokształtu budownictwa polskiego w całym jego przeogromnym bogactwie i bujności niewyczerpanej, trzeba było z konieczności to, co siłą dziesięciowiekowego harmonijnego rozwoju i twórczości rasowej w jednolitą całość się zrosło, a co w jednym tomie wydawnictwa zawrzeć się żadną miarą nie mogło, podzielić na części, opracowane i podane kolejno. Dlatego też za zasadę uwytłumaczającą najwyraźniej pojędyńcze ogniwa łańcucha rozwojowego architektury polskiej, przyjęty został podział według stopnia rozwoju środowisk budowlanych: na początek opracowana została wieś i miasteczko, poczem przyjdzie kolej na architekturę świecką miast większych, następnie na architekturę monumentalną kościelną i świecką, wreszcie w osobnym tomie znaleźć miejsce powinna architektura stolicy kraju, Warszawy”.

Szereg cały charakterystycznych fotografii przemyślała architektura naszej wsi i miasteczka. Podcienie, dach, wiadła patrzą zamierzłą twórczością naszych pradziadów i wzywają do kontynuowania tej lechickiej linii rozwoju w architekturze. Ale „aby mózdz dziś znów tworzyć dwory i dworki polskie, należy przeżyć po raz wtóry ich genezę i rozwój, od klity pierwotnej i chaty kurnej — aż do ich najdoskonalszych i najwyższych przekształceń w dworach z końca XVIII wieku”.

Wydawnictwo „Wieś i miasteczko” powinno to zadanie spełnić. Jest ono jednak cenne nie tylko dla specjalisty architekta. Każdy świadomie miłujący swoją przeszłość polak weźmie je z wielkim pietizmem do ręki.

Położenie geograficzne Warszawy.

Znany miłośnik krajoznastwa i pionier haseł, nawołujących do poznania ziem ojczyści, p. Aleksander Janowski, wydał arcyciekawą broszurę p. t. „Położenie geograficzne Warszawy”. Warszawa znajduje się w centrum ziem polskich, w Europie też jest punktem środkowym. Z racji tej p. Janowski przypuszcza, że „przy bajecznym rozwoju przemysłu zachodniego i przez wzrastające zagospodarowanie niziny wschodnio-europejskiej i Syberji, Warszawa odegra pierwszorzędną rolę”. „Wszystkie linie komunikacyjne i szlaki handlowe muszą przecinać Europę równoleżnikowo z zachodu na wschód: Paryż, Berlin, Warszawa i Moskwa są już i muszą się stać jeszcze wybitniejszymi etapami tej olbrzymiej wymiany produkcji Oryentu i Okcydentu. Marzy więc p. Janowski: „Ku Warszawie zwracać się będą z niepokojem oczy wschodu i oczy zachodu, o jej względy zabiegać będą interesy Atlantyku i interesy Pacyfiku. Jej wola będzie władną na kontynencie Eurazji, a paromilionowe mrowisko jej mieszkańców trzymać będzie w swych dłoniach spłot interesów świata” (Str. 27).

Broszura p. Janowskiego jest bardzo pouczająca. Warto, by zapoznały się z nią jaknajszersze warstwy naszej inteligencji.

Z chwil samotnych.

P. Michał Szwarcenberg-Czerny poświęca ziemi proszowskiej, swojej ziemi rodzinnej, zbiorek poezji p. t. „Z chwil samotnych”. Tomik ten składa się z następujących cykli: Do Janki, Stare dzieje, Z mojej ziemi, Ronda, Sonety, Preludya, wiersze różne, piosenki oraz fraszki i bajki. Wiersze te nie zdradzają jakiejś wybitnej indywidualności artystycznej, są jednak miłe i niekiedy pociągają sentymentem i żywym odczuciem przyrody. Pieśń miłosna najczęściej odzywa się tęsknotą i wyrzutem a żołnierskie echa wtórują nastrojom religijno-klasztornym. Rondo „w klasztornej celi” wyróżnia się opowaniem formy. W sonecie też umie rzeźbić p. Czerny swoje nastroje i myśli. Stosunkowo najmniej są udatne fraszki i bajki. Dowcip ich jest wątpliwy.

Wybory proporcjonalne.

Znany polityk i ekonomista, p. St. Kempner, wydał interesujący szkic informacyjny p. t. „Wybory proporcjonalne”. Szkic ten jest bardzo pouczający i na czasie lektura. Dla szerokiej sfery obywateli, którzy muszą spełnić swój obowiązek wyborczy — szkic p. Kempnera będzie wyjaśnieniem, jak należy umiejętnie zapisywać się do kuryi, by otrzymać większość polską w radzie miejskiej.

Podręczna encyklopedia kościelna.

Wyszedł 42—43 tom podręcznej encyklopedii kościelnej. Ks. kan. Z. Chełmicki przez dwanaście lat pracy stworzył pomnik, o którym mówi arcybiskup ks. Kakowski: „Pobieżne choćby przejrzenie Encyklopedii okazuje, że jest ona istną kopaliną cennych wiadomości, podręcznym źródłem drobnych, treściwych i dokładnych informacji ze wszystkich dziedzin życia kościelnego. Zawiera ona uwagi i wskazówki o wszystkim, co dziejów Kościoła katolickiego dotyczy, co do Boga i Jego chwały się odnosi. Wszystkie działy teologii, Pismo św., liturgia, prawo kanoniczne, historia i geografia Kościoła powszechnego i w Polsce w szczególności znalazły w niej należyte opracowanie”. I wyraża przytem ks. arcybiskup nadzieję, że „każda redakcja, każda biblioteka, każda czytelnia, każda szkoła i pracownia naukowa w liczbie dzieł pomocniczych i Encyklopedię bezwątpienia będą posiadały”.

Sztandar polski.

Do słów poety W. Łaszczyńskiego napisał bardzo melodyjną i rzeźką muzykę A. Elertowicz p. t. „Sztandar Polski”. Jest to pieśń łatwo wpadająca w ucho i mogąca służyć doskonale do otwierania różnych uroczystości.

